

Pandemia strachu, bezradności i obojętności.

„Wczoraj oddałem żonę do szpitala. Ma zapalenie płuc z powikłaniami oraz kłopoty z nerkami. Wiem, że więcej osób jest chorych. Módlmy się za wszystkich potrzebujących”.

Taki sms pojawił się w telefonie mamy w sobotę rano, 7 marca 2020 r. To był początek lawiny zdarzeń, które trwają do dzisiaj.

Wiadomość napisał pan Grzegorz, mąż pani Basi, która była pierwszą w Polsce śmiertelną ofiarą koronawirusa.

Mieszkam w małej wiosce pod Poznaniem. Wydarzenia kolejnych dni wpłynęły znacząco na naszą społeczność. Były one jedynie wstępem do atmosfery niepewności, jaka w całym kraju nastąpiła jesienią, a w innych europejskich krajach znana był już od kilku miesięcy.

Pan Grzegorz jest szafarzem w naszym kościele. Razem z panią Basią założyli wspólnotę świętej Moniki, dlatego wiele osób kontaktuje się ze sobą, gdy potrzeba modlitwy. W niedzielę, 8 marca - służył do mszy, a 9 marca potwierdzono wirusa u jego małżonki. We wsi zapanował strach, jakiego jeszcze nie widziałam. Zamknięto kościół, miejsce, gdzie nieustająca nadzieja może wyciągnąć człowieka z najgłębszej ciemności. Zamknięto szkoły, gdzie wbrew pozorom można realizować swoje marzenia.

Zamknięto ludzi w domach wmawiając im, że bliski, znajomy, kolega, sąsiad, przechodzień może być zagrożeniem.

Życie przeniosło się do Internetu. Nieprzebrane morze słów popłynęło w temacie: Czy mąż, który był szafarzem, a zawiózł w piątek żonę do szpitala, miał prawo udzielać w niedzielę komunii świętej i w ogóle być w kościele? Sprawa odbiła się echem w mieście, a nawet w kraju.

Dla nas oznaczało to, że ludzie, którzy w niedzielę uczestniczyli w Eucharystii, zgłaszali się do Sanepidu i zaczęła się inwigilacja. Po wiosce rano i wieczorem, bez sentymentu, jeździła policja. Jeśli ktoś rano spał, a był mieszkańcem na kwarantannie, to musiał wstać, wyjść na dwór i potwierdzić swój pesel. Dzięki temu, i ja nauczyłam się go na pamięć. Ci, co nie byli w kwarantannie, omijali domy zakażonych szerokim łukiem. Rzadko kto zadzwonił z propozycją pomocy.

Pamiętam, jak do taty zadzwoniła przejęta sąsiadka, którą w poniedziałek rano podwoził do Poznania, bo nie zdążyła na autobus. Zadała tylko jedno pytanie:

- Czy byłeś w niedzielę u komunii?

- Tak...

- O... - zapadła niezręczna cisza - dzięki, będziemy w kontakcie - i odłożyła słuchawkę.

Tyle, że my nie mamy ze sobą kontaktu poza tym, że ona czasami nie zdąży na autobus i ktoś ją podwiezie. Ja ją nawet rozumiem, ona jest w grupie ryzyka, przeszła chorobę nowotworową. Jak wiemy, ani z jednym, ani z drugim nie ma żartów.

Internet był beznamiętnie bezpośredni w krytyce wobec wszystkiego. To strach obudził w ludziach agresję. Czytałam nawet, że wzorem pewnego miasteczka we Włoszech policja i wojsko mają otoczyć naszą wioskę i zamknąć dostęp. Ludzie szczerze w to uwierzyli i ruszyli szturmem do sklepów. Pierwszy raz

wówczas i my zachowaliśmy się panicznie, robiąc ogromne zakupy. Od wtorku, na kolejne dwa tygodnie zostaliśmy zamknięci w domu - dzięki temu, że ulegliśmy „owczemu pędowi”, mieliśmy, co jeść.

Nie wystąpiły u nas objawy choroby. Nikt nam nie zrobił testów. Tylko młodszy brat, zasypiając, pytał przez wiele dni:

- Mamo, czy ja tej nocy umrę?

To, co on wypowiadał na głos, zrodziło się w głowach wielu ludzi. Jedni trzymali to pytanie w swoim wnętrzu, inni ze złości, że to jest możliwe, bardziej niż kiedy indziej - atakowali otoczenie.

Pani Basia została pochowana w kwietniu, w wielki czwartek. To była piękna msza. Dzięki transmisji w Internecie uczestniczyło w niej kilkaset osób. W tym roku, wiele takich pożegnań się odbyło.

Niespodziewanych, nagłych, za wczesnych.

Ci co pozostali zaczęli się dziwnie zachowywać. Pandemia stała się często wygodnym wytłumaczeniem unikania pewnych osób, zwłaszcza starszych, którzy w tym trudnym czasie byli szczególnie narażeni na niebezpieczeństwo i przez to zostali zamknięci w domach.

- Mamo, nie przyjadę na święta, to dla Twojego dobra, przyślę Ci paczkę.

- Masz 85 urodziny - sto lat, ale wiesz, nie przyjadę, bo przecież nie chcę Cię zarazić.

W zasadzie te zdania są oznaką odpowiedzialności, ale czy nie są zbyt często używane?

Pochowani za życia, zapomniani, obdarci z resztek sił, które z taką dumą prezentowali. Szczęście, jeśli jakaś babcia, czy dziadek opanowali obsługę telefonu lub komputera. Wówczas, podobnie jak szkolnictwo, kultura i sztuka oraz życie towarzyskie przenieśli się w XXI wiek. Jednakże wielu nie dało rady. Siedzą samotni w domu, zdani na łaskę lub niełaskę dzieci, wnuków czy sąsiadów. Rozejrzyj się, Ty też będziesz kiedyś stary.

Aukcja

W pewnym mieście zorganizowano aukcję dzieł sztuki. Środki ze sprzedaży miały być przekazane na remont i doposażenie domu spokojnej starości.

Licytanci zapoznali się z listą eksponatów, które można było kupić i chociaż nie było ich wiele, kilka z nich stanowiło prawdziwą gratkę. Dom Aukcyjny zapewniał o oryginalności oraz uczciwym nabyciu dzieł. Był to więc nie lada rarytas. Ostatnie dzieło - nie było nikomu znane, ale ponieważ wcześniejsze były prawdziwymi perełkami - zainteresowani spodziewali się kolejnego arcydzieła.

Licytacja odbywała się online. Ze względu na pandemię oraz aby umożliwić zakup licytantom z odległych krajów. W dobie szalejącego wirusa wiele aktywności przeniosło się do Internetu. Na wielkim ekranie dokonano połączenia. Każdy uczestnik potwierdził swoją wiarygodność. Aukcjoner wprowadził dzieła. Aby budować napięcie i nie rozpraszać uczestników, obiekty były zakryte materiałem.

Pierwszy do licytacji był obraz Petera Paula Rubensa pod tytułem „The study of an old woman.” Cena wywoławcza to pięćdziesiąt tysięcy złotych.

Był to portret wykonany techniką „olej na płótnie” o wymiarach 49 na 32 centymetry. Dzieło przedstawiało starszą kobietę. Bardzo wyraźnie widać było jej zmęczenie, wszystkie zmarszczki oraz skromny strój. Dzięki ciemnemu tłu wizerunek bohaterki był bardzo wyraźny.

Po zaciekłych bojach - został sprzedany za sto dwadzieścia pięć tysięcy złotych. Dla nabywcy, zamożnego kolekcjonera z Włoch, był to wspaniały interes. Może go sprzedać ponownie i zarobić na tym ogromną sumę pieniędzy.

Kolejne dzieła również znalazły nabywcę.

Atmosfera podczas aukcji zrobiła się bardzo ciepła i towarzysko interesująca. Licytanci żartowali sobie, trochę podpuszczali się nawzajem, komentując dowcipnie swoje wcześniejsze decyzje. Znali się z poprzednich aukcji, byli doświadczonymi nabywcami, kolekcjonerami dzieł sztuki. Piękni, w kwiecie wieku, majątni. Często zagadywali aukcjonera o ostatni eksponat, bo nazwa i data produkcji nic im nie mówiła, a przeczesał w celu zdobycia informacji cały Internet. Na liście dzieł przeznaczonych do aukcji napisane było tylko: „Edmund”, 1925, autor: K. Kobro.

Katarzyna Kobro to znana polska malarka. Jednakże w jej dorobku nie ma obrazu o takim tytule. Może jakieś dzieło zostało odnalezione w tajemniczych okolicznościach? Te niepewne domysły tylko jeszcze bardziej rozbudzały zainteresowanie ostatnim punktem aukcji.

Nadszedł wreszcie ten czas, gdy opadła ostatnia zasłona. Jakież było zdziwienie, gdy na sztaludze licytanci zobaczyli tylko czarny monitor.

- Och, przepraszam, odparł aukcjoner. Już włączam.

Na ekranie pojawił się starszy mężczyzna, na wózku inwalidzkim. Kamera pokazała jego pomarszczone ręce i twarz, siwe włosy oraz piękne błękitne oczy. Ubrany był we flanelową koszulę w kratę oraz swobodne spodnie od dresu. Na nogach miał kapcie.

- Edmund - data powstania - 1925 rok. Jeszcze tylko pięć lat i ukończy setkę. Matka, Krystyna Kobro, zginęła w 1939 roku, podczas pobytu w obozie koncentracyjnym. Edmund przeżył niewolę. Ma ogromne doświadczenie w opowiadaniu historii z przeszłości, całkiem sprawnie odmawia różaniec. Potrafi czasem jeszcze coś naprawić. Nieco niedosłyszy, ale gazetę czyta jeszcze bez okularów. Niewiele je, ma sporą emeryturę, a ,jeśli dożyje setnych urodzin, będzie ona jeszcze większa.

Na ekranie uczestników aukcji zapanowało poruszenie.

Jak to? To chyba kpiny. Dlaczego mamy kupować człowieka. To żenujące. I po tym zamieszaniu większość uczestników licytacji zamilkła.

Podczas gdy aukcjoner w kolejnych zdaniach przedstawiał zalety starszego pana, większość licytujących rozłączyła się lub wyłączyła kamery, wyrażając w ten sposób swój brak zainteresowania albo i nawet oburzenie.

- Cena wywoławcza - 25 złotych - tyle kosztuje codzienne utrzymanie pensjonariusza w domu starców. Kto da więcej? Zapytał niepewnie aukcjoner.

Ostatecznie aukcja zakończyła się ogromnym medialnym szumem. W gazetach pisano, że to było poniżające posunięcie. Dom aukcyjny musiał się solidnie tłumaczyć w prasie i telewizji.

Starość jest piękna tylko na obrazach, wówczas może nawet być wartościowa. Obraz może nam się nie podobać, ale osiągnąć ogromną cenę. W rzeczywistości wielu ludzi uważa, że to brzydka konieczność losu,

etap życia, który nie udał się Bogu. Obecnie, w czasie pandemii, wielu ludzi ją wyparło, uznało, że jej nie ma, omija szerokim łukiem i nawet tłumaczy to dobrem drugiego człowieka. Jakby to starość była zarazą.

Julia Strzelczyk